

część pierwsza:

*Siloam,*

*co się tłumaczy „posłany”*



## KROK

Cała kamienica, przed którą stał, sprawiała wrażenie nawet nie tyle opuszczonej, ile wymarłej. Zaiste niektórzy gotowi pomyśleć, że to tylko literacka emfaza, znamienna dla domorosłych literatów-grafomanów; sprytna, ale jakże banalna zarazem metoda budowania nastroju za pomocą epitetów skrajnych. Niestety nie. Fasada tego budynku naprawdę nie wyglądała zachęcająco. Cegły nadgryzione zębem czasu zdawały się z ledwością podtrzymywać całość konstrukcji. Ich wysiłkom wyraz dawały smutne jęki kondygnacji, między którymi wiatr hulał, jakby swym świstem chciał obudzić dawno śpiące już duchy tego miejsca. Panujący zaś na dworze siarczysty mróz tylko wzma- gał i tak wszechogarniające uczucie grozy. A jednak Maciek tu był. Co więcej – ktoś właśnie tutaj wyzna- czył mu spotkanie.

Mężczyzna przeklinał w myślach nie tylko nieznanego jeszcze sprawcę tego całego zamieszania, lecz i siebie, że w ogóle na takie szaleństwo się zgodził. Przecież mógł normalnie, jak każdego dnia przyjść do biura, usiąść za biurkiem, uprzednio zaparzywszy kawę, a potem oddać się słuchaniu starych jazzowych albumów. A tak? W samym środku cholernego, mroźnego grudnia znalazł się w miejscu, o którego istnieniu dotąd nie miał pojęcia, mimo że urodził się w tym mieście i wszystkie, nawet najczarniejsze jego zakamarki znał jak własną kieszeń. Gdyby zimno było jedynym problemem, to jeszcze pół biedy. Bardziej Maćka wkurzało to, że szeroki pas nieregularnych kocich łbów, dzielący go od wejścia do kamienicy, nieśmiało skrzył się w kontakcie ze światłem księżyca raz tu, raz tam, niby upstrzony na chybił trafił kryształami Swarovskiego. No, to zaczynamy drogę przez mękę – pomyślał, opierając laskę w miejscu z pozoru najlepszym do oparcia, po czym wykonał pierwszy krok w stronę nieznanego.

Przez lekko ponad trzydzieści lat życia zdążył się już dobrze zaznajomić ze swoją najwierniejszą towarzyszką – wysłużoną metalową laską. Zawsze była dla niego

oparciem. Często, kiedy patrzył na nią, przypominając sobie mimowolnie wszystkie przygody, które razem przeżyli, zastanawiał się, ile to z jej wyglądu mógłby wydedukować Sherlock Holmes. Wszak w najbardziej chyba znanym opowiadaniu „Pies Baskerville’ów” to właśnie laska stała się przyczynkiem do tego, aby słynny detektyw nakreślić mógł pierwszy rys postaci doktora Mortimera. Holmes wówczas stwierdził, iż jego klient był studentem praktykantem w szpitalu Charing Cross, posiada wykształcenie wyższe, ma niespełna trzydzieści lat, jest uprzejmy, niezbyt ambitny, dość roztargniony i ma psa. To wszystko, przypomnijmy, wyczytał z jednej laski. Cóż zatem ikona z Baker Street 221 B powiedziałaaby o Maćku, patrząc tylko na jego „metaliczną podpórkę”? Zapewne sporo, choć znacznie więcej zdradziłyby nieregularne ślady stóp, które bohater zostawiał za sobą; jeden zwyczajny, drugi zaś powłóczysty, niby ciągnięcie czubkiem buta po ziemi. Ów wzór był bardzo regularny w swej nieregularności. Nie trzeba było więc żadnego doświadczonego obserwatora czy lekarza konkretnej specjalizacji, by stwierdzić, iż taka anomalia w sposobie chodzenia musi być wynikiem jakiegoś urazu albo dolegliwości.

W tym przypadku – neurologicznej, nabytej tuż po urodzeniu.

\*\*\*

Maciek odetchnął z ulgą. Oszroniony szlak prowadzący pod sam próg klatki schodowej ponurej kamienicy miał już za sobą. Jeszcze nim wykonał następny krok przybliżający do rozszyfrowania tajemnicy, która go tutaj zwabiła, postanowił obrócić się, aby z poczuciem dumy omieść wzrokiem krótki, acz wymagający dystans, jaki przed chwilą przebył. Bezskutecznie. Choć nad miastem tego wieczoru nie zalegała żadna mgła, to niepodobna było w owym momencie dostrzec czegokolwiek w odległości większej niż pół metra, i to pomimo tego, że kilka minut temu wszystko było normalnie. Wzbudzało to w człowieku nieodparte wrażenie, jakoby mrok w swej zachłanności zagarniał dla siebie coraz to nowe połacie ziemi, nieba – rzeczywistości.

Atramentowy woal nocy wydawał się nieprzenikniony. Światła, sylwetki, dźwięki – nic nie mogło się przezeń przebić i dosięgnąć któregokolwiek ze

zmysłów Maćka. Wokół było ciemno, cicho, mroźnie i w pewnym sensie klaustrofobicznie. Ani jednej żywej duszy. Zupełnie, jakby świat skurczył się li tylko do mężczyzny podpierającego się na lasce oraz wejścia do kamienicy. Nie powodowało to jednak lęku w jego umyśle. Owszem, serce zaczęło bić szybciej, lecz nie z uwagi na strach czy obawy przed czymkolwiek lub kimkolwiek. Maciek stracić mógł bowiem zaledwie swoje życie, bo rentę inwalidzką już i tak po latach batalii otrzymał na stałe.

Życie zaś od dawna nie przedstawiało dla niego większej wartości. Już za długo na tym świecie był sam albo – jak to lubił mawiać, podkreślając przy tym obsesyjne wręcz umiłowanie polszczyzny – samotrzeci, wraz ze swoją chorobą i laską. Bez tych dwojga nigdzie nie mógł się ruszyć. Nawet na krok.

Żadnej rodziny, dzieci, miłości, przyjaciół. W pracy stronił od ludzi. Podobno w ich oczach był dziwakiem, by nie rzec ekscentrykiem albo jeszcze mocniej: wariatem. Nie przejmował się tym jednak ani trochę. Więcej, cieszyło go to, gdyż automatycznie uprawniało do odwzajemnienia wspomnianych impresji, czytaj: do postrzegania w taki sam sposób tych, z którymi

dzielił wyłącznie miejsce pracy. Choć kochał ludzi – z tymi nie było mu po drodze. Nie ta wrażliwość, nie te zainteresowania, nie te pasje, a co najgorsze, jakby nie ten czas. Żyli w tym samym momencie historii, lecz zdawało mu się, że pochodzili ze zgoła innych epok. Wartości, które znał, kochał, cenił i wyznawał, sukcesywnie z roku na roku zanikały na jego oczach za horyzontem kolejnych wydarzeń. Niestety, owe wydarzenia już nawet się nie toczyły, nie działały, a pędziły na złamanie karku. Świat przypominał rozpędzony do granic, ultraszybki pociąg, który prędzej czy później musi się wykoleić, gdyż napędzają go wyłącznie nihilistyczne pragnienia pasażerów, stale chcących lepiej, więcej i szybciej, bez względu na konsekwencje. Niemniej będzie jeszcze czas, by omówić to głębiej.

Serce mężczyzny pompowało krew z większą prędkością niż zwykle. Było to owocem dziennikarskiego doświadczenia z tak zwanej starszej szkoły, kiedy to zadaniem żurnalisty było rzetelne opisanie rzeczywistości. Wtedy najważniejsza była prawda. Oczywiście nie zawsze leżała ona pośrodku, ale zawsze była celem, nie zaś słowem pomocniczym do przedrostka post. Naszego bohatera nie interesowa-



ła pogoń za gorącymi tematami czy wygłaszanie własnych sądów jako też eksperckich. Nie szukał rozgłosu, poklasku. Zresztą... co dobrego miałyoby mu przyjść z gremialnych zachwytywów ogłupionego (w większości) społeczeństwa, skoncentrowanego jedynie na sławie. Jemu zawsze zależało na prawdzie, a ta – nie oszukujmy się – częściej bywa znacznie mniej fascynująca i medialna aniżeli wyssana z palca plotka.

Dlatego właśnie Maćka w środowisku uważano za dinozaura, skamielinę. Mimo że posługiwał się słowem mówionym i pisany jak obecnie nikt inny i miał bardzo rozległą wiedzę o historii i kulturze czasów dawnych, to do dyspozycji mógł mieć jedynie wąską rubryczkę na przedostatniej stronie gazety. I co z tego? Nawet jeśli temat, za którym tutaj przybył, miałby znaleźć swój finał tuż przed obrazkami gołych pań sąsiadujących z prognozą pogody na dzień następny, czuł, że warto być w tym miejscu. Przeczucie podpowiadało mu bowiem, iż tu właśnie znajdzie Prawdę. Przy takich przesłankach serce musiało zwiększyć obroty, a stopa w końcu stanąć za progiem klatki schodowej.

Serpentyna starych, drewnianych, zgniłych, stromych, ciasnych schodów nie zachęcała do dalszej wspinaczki. Drewno trzeszczało niemiłosiernie przy każdym najmniejszym drgnięciu. Złowieszczy dźwięk odbijał się echem od ścian, rezonując groźnie w wąskiej, klaustrofobicznej przestrzeni. Każdy, kto byłby wówczas na miejscu dziennikarza i widział to, co on, gdy omiatał wzrokiem pnące się ku górze niebezpiecznym zawijasem stopnie, zrozumiałby natychmiast, że w tej sytuacji stare przysłowie stanowiące, iż ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła, przybrało tutaj wręcz boleśnie namacalną formę. Mimo to mężczyzna bez dłuższego namysłu zdecydował się rzucić wyzwanie infernalnym kręgom. W końcu, jako się rzekło chwilę wcześniej, stracić mógł tylko życie, zyskać zaś coś, co odmieni jego nędzny żywot na dobre. Bilans był oczywisty i nie pozostawiał wątpliwości.

Maciek odnalazł po omacku włącznik światła. Po naciśnięciu ustrojstwo wydało jedyny w swoim rodzaju metaliczny klik i ku zdziwieniu mężczyzny rozjaśniło groźną klatkę schodową światłem dwóch prawie nagich żarówek. Za klosze służyły im jedynie gęsto utkane pajęczyny oraz kurz. Co warte odnoto-

wania, nie były to te nowoczesne, białe, ekologiczne, energooszczędne żarówki, w których świetle każde pomieszczenie wygląda niczym szpitalny korytarz. Nie. Ta parka zwisała dumnie z mocno popękanego, sypiącego się miejscami sufitu, obłaskawiając nieprzyjazną człowiekowi przestrzeń ciepłem z dawna niewidzianego, a jakże pięknego żółtego światła. Takich cudów się już dziś nie produkuje, zatem także nie używa. Zostały wycofane z obrotu wiele lat temu, lecz tu wciąż „świeciły” swoje triumfy. Ktoś mógłby rzec, iż to nic nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę, jak dawno ludzie musieli zapomnieć o tym miejscu. Racja. Po prostu od chwili przybycia tutaj Maciek ani razu nie zastanawiał się, czy i jakie oświetlenie zastanie. Przygotowany był raczej na egipskie ciemności, toteż dobrze znana mu z dzieciństwa barwa światła troszkę go ośmieliła. Chociaż tyle dobrze – pomyślał, po czym odczekał chwilę, aby upewnić się, czy żarówki nie zaczną nagle mrugać. To bowiem czyniłoby pokonanie i tak nieprzyjemnych schodów jeszcze trudniejszym.

Każdy kolejny stopień powodował nieznaczny, acz odczuwalny wyrzut adrenaliny, dzięki czemu trzydziestolatek coraz szybciej zbliżał się na sam szczyt

klatki schodowej, nie bacząc zupełnie na ryzyko, jakie owemu przyspieszeniu tempa towarzyszyło. Jeszcze tylko kilka – powtarzał w myślach niczym mantrę, przesuając dłoń po drewnianej poręczy.

Gdy wreszcie dotarł na górę, jego oczom ukazały się wysokie, wysłużone, drewniane dwuskrzydłowe drzwi. Ich leciwość zdradzały resztki ciemnozielonej farby, najpewniej zdobiącej je w czasach świetności, teraz zaś będącej tylko smutną reminiscencją tego, co było. Pośród mozaik odprysków o barwie mchu wyraźnie odznaczały się dwie świeżo zamontowane rzeczy: klamka oraz zamek. Nowość tych dwóch elementów aż biła po oczach, mówiąc kolokwialnie. Ktoś zatem musi tu mieszkać – pomyślał Maciek, podszedł do drzwi i zapukał. Odgłos kilku następujących po sobie stuknięć, mimo że nie były silne, niósł się po całej klatce schodowej, lecz bez żadnego odzewu. Spróbował ponownie – z identycznym skutkiem. Nieśmiało nacisnął więc klamkę, a drzwi same odskoczyły, uchylając się do wewnątrz.

– Halo! Jest tu ktoś? – rzucił asekuracyjnie, choć przypuszczał, że odpowie mu tylko niknące pośród wiatru echo. Tak też się stało.

Nie miał wyjścia. Musiał uczynić któryś już tego wieczoru krok w nieznane. Powoli otworzył drzwi szerzej i wszedł do środka.